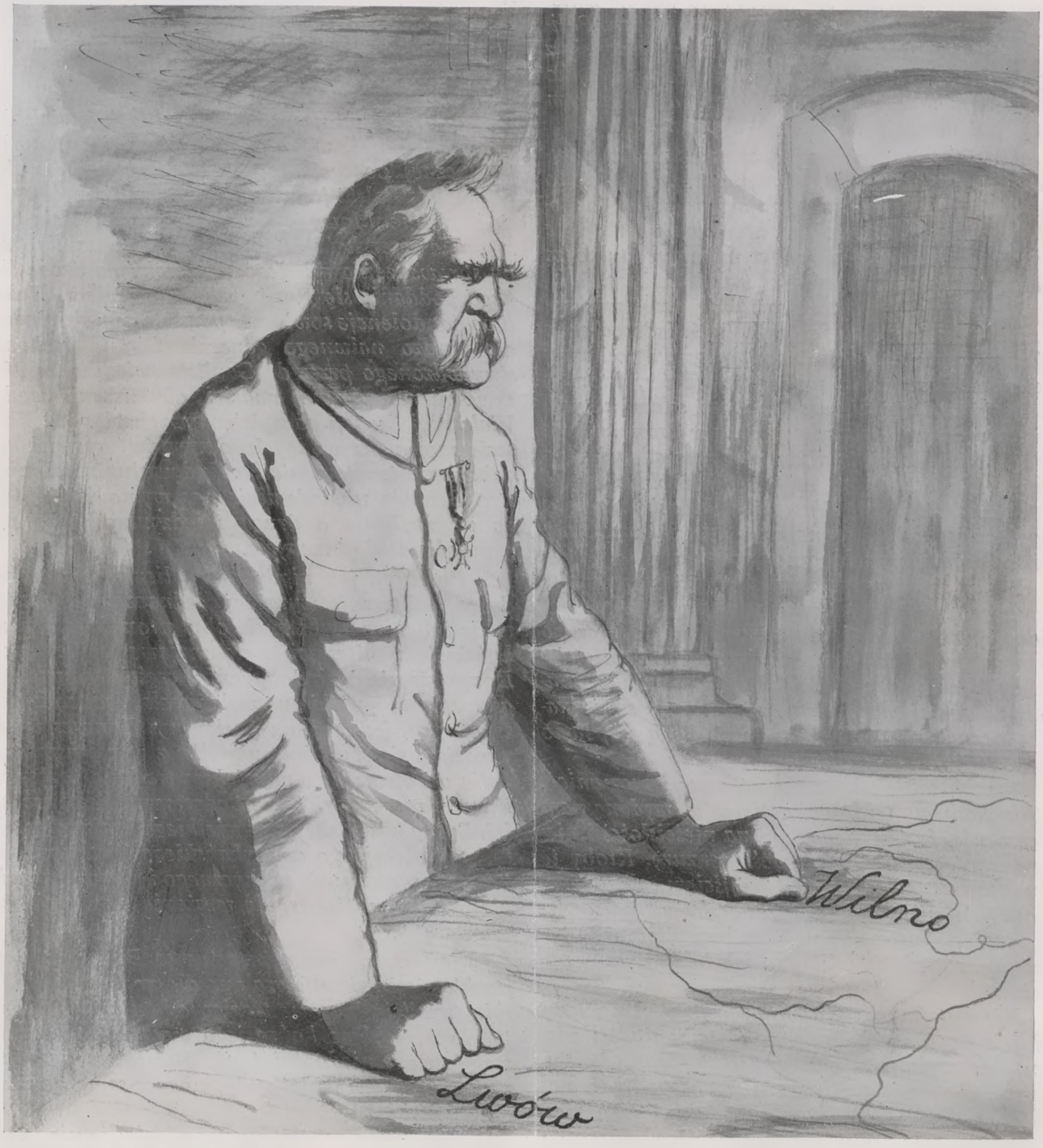
TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Zdzisław Czermański
Aleksander Janta
Jan Lechoń
Herminja Naglerowa
Stanisław Stroński
Kazimierz Wierzyński
Piotr P. Yolles

Vol. 2 Nr. 20 (72) | Nowy Jork, 14 maja — New York, 21, N. Y., May 14th, 1944 | Cena 15 ct.



NA 9-tą ROCZNICĘ ŚMIERCI PIŁSUDSKIEGO — *Rys. Z. CZERMAŃSKI*

2

NIE JESTEŚMY SAMI

Wszyscy ci, którzy nam doradzają ustępstwa wobec Rosji, którzy chcą nas przekonać o beznadziejności naszego losu, używają przedewszystkiem rzekomo nieodpartego argumentu: Polska jest sama.

Ten argument nie wytrzymuje dyskusji, dlatego przedewszystkiem, że rzczywistością nie jest tylko teraźniejszość, ale przyszłość tak samo, że to co jest dzisiaj zmienia się jutro, a to jak się zmienia, zależy w znacznej mierze od nas samych. Polityk, który widzi tylko teraźniejszość, nie liczy się z przyszłością, nie stara się dla niej działać, jest tylko tchórzliwym macherem politycznym, a nie mężem stanu, ani nawet prawdziwym dyplomatą.

Ale najważniejsze jest to, że nasze rzekomo zupełne dziś osamotnienie, jest tylko pozorne, jest to złudzenie wywołane przez propagandę, jest to dowolna ocena sił i warunków, które bynajmniej nie wszystkie są przeciw nam sprzymierzone, tylko za takie są przez naszych wrogów przedstawiane.

Nawet niezbyt bystry czytelnik gazet wie doskonale ,że oddawna niema faktu świadczącego o rzekomej beznadziejności naszego losu, o rzekomej konieczności ustępstw wobec Sowietów, którYby nie znajdował dzięki wrogim nam siłom natychmiastowego i wielogłosowego echa w prasie, niema takiej plotki o nacisku aljanckim na rząd polski, o presji pana Stetiniusa na pana Mikołajczyka, o istotnym sensie mowy Churchilla, któreby nie były natychmiast podchwycone, rozgłoszone, wyolbrzymione, podane na widocznem miejscu.

To co świadczy na naszą korzyść, co mogłoby nas utrwalić w oporze, tylko ze znacznie większym trudem przedostaje się do wiadomości, a teraz po jedynem w dziejach zarządzeniu angielskiem uniemożliwiającem porozumiewanie się rządów w Londynie ze swemi placówkami rozszerzanie się i właściwa ocena tych dobrych wieści, będą napewno jeszcze mniej łatwe.

Trzeba sobie zdać z tego sprawę i zrozumieć, że przechodzimy teraz wojnę nerwów, wydaną nam przez Rosję, że jesteśmy zdani na nieścisłości i niedomówienia, plotki i surowość cenzury. Ktoby te wszystkie rzeczy utożsamiał z przejściem całego świata, całej Anglji i Stanów Zjednoczonych na sowiecką wiarę, dopuszczałby się aktu bezkrytycznego pesymizmu, równie szkodliwego jak bezkrytyczny optymizm.

Nie jesteśmy bynajmniej sami. W Ameryce i Anglji są potężne siły, mocne indywidualności, zdające sobie sprawę, ze światowego znaczenia Polski, mogące w sprzyjających warunkach poprzeć nas wydatnie. Król Piotr jugosłowiański i jego rząd wsparty postawą kraju, opierają się niewzruszenie i odważnie sowieckiemu naciskowi. Generał De Gaulle w swej walce o przywrócenie znaczenia Francji krzyżuje niewątpliwie bolszewickie plany i wcześniej czy później musi wejść z niemi w konflikt. Co się dzieje w Europie, na ziemiach bezpośrednio zagrożonych przez sowiecką agresję łatwo się domyśleć. I wreszcie Kościół rzymsko katolicki, największa potęga religijna świata podnosi głos, wzywający do organizowania obrony przeciw nowemu imperjalizmowi. W obozie socjalistycznym coraz mocniej rozbrzmiewają podobne głosy. W ostatnich tygodniach cały szereg faktów wielkiej wagi potwierdził słuszność tego co piszemy. Przedewszystkiem opis debaty w Izbie Gmin po mowie Churchilla, przekazany 'Tygodnikowi' przez prof. Strońskiego, przekonał nas, że mimo sytuacji angielskiej istotnie trudnej, wymagającej wielkiej zręczności politycznej poczucie moralnych obowiązków Anglji wobec Polski jest niezwykle żywe i manifestuje się wyraźnie. Mowa króla Piotra na bankiecie prasy anglo-amerykańskiej dowiodła, że wszelkie próby sprowadzenia młodego monarchy na drogę ślepego poddania się Rosji spełzły na niczem. Hałaśliwe kondolencje sowieckie pod adresem dzielnego, ale bardzo naiwnego generała Giraud rzekomo skrzywdzonego przez de Gaulle'a świadczą, że Moskwa niema wielkiej nadziei, aby uczynić wodza Walczącej Francji narzędziem swych planów. Wreszcie mowa przywódcy labourzystów, angielskiego robociarza przytem wielkiej indywidualności ministra Bewin'a uświadamiają nas wymownie o tem że międzyRosją a drugą międzynarodówką jest przepaść nie do przebycia.

Potężnej, jak nigdy dotąd licznej, jak nigdy dotąd politycznie wyraźnej, jednoczącej przedstawicieli bardzo wybitnych obu stronnictw amerykańskich manifestacji 3-cio majowej w Senacie i Kongresie nie dano dotąd ani w części tego wielkiego rozgłosu, na jaki ona zasługiwała. Jedna czwarta senatorów, jedna ósma posłów na Kongres wypowiedziała się tego dnia nietylko z największą sympatją o Polsce, ale z największą troską o przyszłość Europy zagrożonej przez poderwanie haseł wolności. Był to prawdziwy głos wielkiego kraju, głos nietylko tradycyjnego amerykańskiego idealizmu, ale też czujnego rozumu politycznego i przewidywania, głos, który musiał zrobić wrażenie tam gdzie był skierowany.

Jest rzeczą jasną, że sytuacja Polski jest niezwykle ciężka, że stwarza ona dla naszego kraju po tylu przejściach, nowe tragiczne konflikty i nie zapowiada rychłego końca jego męczeństwa. Byłoby szaleństwem niedoceniać siły Rosji, nie liczyć się z nią, wierzyć w jakieś cudy, mogące same przez się odwrócić bieg wypadków.

Ale byłoby też ślepotą nie widzieć że nie jesteśmy sami, i byłoby zbrodnią nie czynić tak, abyśmy byli coraz mniej osamotnieni.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

NIE WSZYSTKO SKOŃCZONE

WEDŁUG OPOWIADANIA PODPORUCZNIKA R.



Kazimierz Wierzyński z Karolkiem Uniłowskim, synem przedwcześnie zmarłego doskonałego pisarza Zbigniewa

To było najgorsze, bo przyszło po zwycięstwach. Po uderzeniu na Łódź, po zdobyciu Łowicza, po biciu Niemców. Z całości wojny widzieliśmy tyle, co koń z klapami na uszach, ale zwycięstwo czuje się w powietrzu. Wystarczyło żeśmy szli naprzód, że mijaliśmy długie korowody jeńców, wchodziliśmy do zdobytych miast i wsi, gdzie ludzie płakali na nasz widok i całowali nas po rękach. Jeszcze w nocy 15-go września oddział nasz uderzył na wieś Walewice i wyciął tam w pień bataljon Niemców. Zdawało się, że nic nas nie powstrzyma. Nagle stop, zwijać linję, zawracamy. To było najgorsze, łamało nam kręgosłup.

16go września dostałem rozkaz, aby przygotować rzut przeprawy na Bzurze. Mieliśmy przejść przez tę rzekę, dotrzeć do puszczy Kampinoskiej i z północo-zachodu przebić się tamtędy do Warszawy, na którą nacierali już Niemcy. "Rzut przeprawy" piękna nazwa ale w naszych warunkach znaczyło to nie więcej, niż wyszukanie brodu.

Dowodziłem 3-cim szwadronem pionierów przy Poznańskiej Brygadzie Kawalerji. Sprzęt mój był sterany w bojach, jak ludzie, gumowych kładek do budowy mostu nie miałem. Należało znaleźć najpłytsze miejsce, o twardem dnie, z łatwym wjazdem i wyjazdem śród stromych naogół brzegów rzeki. To wszystko.

Rozkaz dostałem o 9-tej wieczorem, koło północy znalazłem bród. Brzeg z naszej strony był płaski, zjazd łatwy. Po drugiej stronie, śród urwistych brzegów, natrafiłem na wyłom szeroki mniej więcej na trzy samochody. Oznaczyłem przeprawę wiechami, do dowództwa dałem znać przez gońców gdzie się znajduję. Prócz mojej przeprawy przygotowano jeszcze dwie inne, opodal saperzy zbudowali most.

Polecono mi pozostać przy przeprawie do następnego dnia wieczorem. Na wszelki wypadek kazałem ludziom wykopać schrony przeciwlotnicze. Każdy wyrył jamę dla siebie, rozmieściliśmy się w szachownicę. Okazało się to nieprzesadzoną ostrożnością.

Przemarsz zaczął się natychmiast, jeszcze w nocy. Nasamprzód przeszła piechota po pas w wodzie, było tego sporo. Potem przeprawiły się dwa pułki kawaleryjskie i jeden strzelców konnych. Wsiąkli w puszczę, gdzie zaraz zaczęli spędzać Niemców, którzy zdołali w jakiś sposób tam przeniknąć.

O świcie otworzył się przed nami nieopisany widok. Cała równina przed rzeką okazała się pełna wozów, dział, jaszczyków, samochodów. Kotłowisko ludzi, zwierząt i maszyn. Obóz ten huczał gwarem, unosiły się nad nim słupy kurzu. Wszystko to czekało na przeprawę.

Musiałem usuwać zatory i ustawiać pojazdy gęsiego, by je przepuścić przez rzekę. Niełatwa była to sprawa, bo jakże tu manipulować w tym ścisku, gdy wozem nie można obrócić. Pierwszy podjechał tabor sanitarny, około dwustu wozów z rannymi. Na przodzie wieźli Niemców, osiemdziesiąt wozów, po czterech rannych na każdym. Szło to w żółwiem tempie, sanitarjusze wołali: powoli, ostrożnie. Chciałem ich poganiać ale co chwila, po każdym podskoku kół, wybuchał z nad wozów krzyk i skowyt. Nie można było tego słuchać. Przeprawiałem się na znalezionej łódce z jednego brzegu na drugi, porządkowałem co się dało. Przejechało już z trzydzieści wozów, gdy nagle stało się coś strasznego.

Mogła być czwarta albo piąta rano, Zahuczały samoloty, szum ich był gęsty i wzrastał błyskawicznie. Wielki nalot, pomyślałem, i mróz mnie obleciał. Nalot na tej płaszczyźnie, na takie zmasowanie, bez żadnej osłony! Ledwie sobie to uprzytomniłem, zaczęło się piekło albo coś gorszego od piekła. Pierwsze spadły na nas nurkowce, na moją przeprawę, na dwie inne, na wojska i tabory, zgromadzone na polach. Leciały eskadrami, odrywały się z szyku, pikowały łbem w dół. Konie płoszyły się, rwały uprząż, skakały na siebie. Ludzie rzucili się ku rzece, wozy stojące nad brzegiem zjeżdżały wprost w urwiska. Nastał sądny dzień, niewiadomo było co robić i gdzie się podziać. Pionierzy pognali do przygotowanej szachownicy, ja przycupnąłem w jakiejś rozpadlinie. Nurkowce zawracały i biły ogniem karabinów maszynowych, zaraz po nich nadleciały bombowce i z wielkiej wysokości siały kuferkami.

Gdy ochłonęliśmy, ogarnęło nas jeszcze większe przerażenie. Nad ziemią wznosił się kurz wysokiemi ścianami i wisiał w powietrzu, jak ruchomy sufit. Z tej duszącej szarości wydobywał się rozdzierający hałas, rżenie koni, jęki ludzi. Jeszcze teraz mam w uszach okrzyk "Hilfe", wołanie rannych Niemców, których własne ich lotnictwo dopadło na samym przejeździe. W polu — wielkie wyrwy po bombach, pełno zmasakrowanych trupów. Dokoła potrzaskane szczątki pojazdów, rozniesione wybuchem na wszystkie strony. Rzeka zawalona wywróconymi wozami, trupami ludzi i koni, połamanym sprzętem. Po tym niesamowitym moście skaczą żołnierze, biegną gdzieś, krzyczą...

Gdy trochę się uciszyło, nie wiedzieć było od czego zacząć, od nowych rannych, od obłąkanych koni, od przeprawy czy czegoś innego, coby miało jakiś sens i pożytek. Przeprawiałem kogo mogłem. Pojechała reszta rannych, przegalopował siódmy dywizjon artylerji konnej. Trwało to jakie pół godziny, nie więcej. Potem nowy nalot, nowe piekło, nowe szaleństwo. Po drugim nalocie musiałem oczyszczać rzekę w miejscu przejazdu. Prąd znosi co chwila belki, koła, półkoszyki chłopskich podwód. Weszliśmy do wody, odsuwaliśmy żerdziami zapory zagradzające drogę. Z jednego wozu, pamiętam, wysypał się transport papierosów, widzę go jeszcze jak rozpływa się wolno na wodzie.

Tak minął straszny dzień, 17-sty września. Naloty trwały przez cały czas. Przerwy nastawały co półgodziny, tyle tylko by jedni wrócili a nadlecieli drudzy. Jak ustalono później, biła po nas cała armja lotnicza, tysiące samolotów, przerzuconych z całego frontu nad Bzurę. Wtedy wie-

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

Application for second class entry is pending.

dzieliśmy jedno: trzeba czemprędzej opuścić to miejsce, bo nikt stąd żywy nie wyjdzie. Kiedy przycichało piekło, biegłem na przejazd, bo teraz trzeba go było stale oczyszczać. Płynęły tam resztki rozbitego mostu saperów, raz po raz zalegał drogę pogruchotany wóz.

O zmroku naloty ustały. Na mojem stanowisku wytrwałem do szóstej, według rozkazu. Potem przeszliśmy rzekę, pomaszerowaliśmy w puszczę. Dotarłem do miejscowości Gomółki Królewskie, gdzie stał sztab mojej brygady. Na wąskiej leśnej dróżce spotkałem dowódcę brygady, generała Abrahama. Był ranny, rozmawiał z oficerami. Zaczęliśmy zbierać z brygady co się dało. Z porozbijanych oddziałów tworzyliśmy nowe, bezimienne. Okazało się, że brak nam amunicji, którą przeprawiono tylko częściowo. Patrole wróciły za rzekę, dotarły do porzuconych parków amunicyjnych i rozpoczęły dowóz. Ludność przynosiła nam chleb, ser, połcie mięsa. Ułani troczyli żywność do sakw, brali paszę dla koni do worków.

Był już późny wieczór, gdy dostrzegłem osobliwy orszak. Poczty wiozły trzy sztandary pułkowe. Nie mówiliśmy nic do siebie ale odgadliśmy wszystko. Niedługo potem przyszła od czoła kolumny wiadomość, że pocięto je w kawałki i rozdano między żołnierzy.

Czulimy, że sytuacja jest beznadziejna. Ruszyliśmy zwolna przed siebie, nastała ciężka noc marszu na ślepo, tylko łuny świeciły zdaleka. Słychać było stłumiony odgłos dział. Gdzieś ktoś się bił.

Nazajutrz zaczęła się nowa mitręga. Niemcy atakowali puszczę z powietrza i młócili po niej artylerją. Było nam coraz ciężej. Co tu dużo gadać, ocknęliśmy się na samem dnie klęski. Jak uwierzyć, że niedawno zwyciężaliśmy, odbijaliśmy kraj, pędziliśmy Niemców przed sobą? Kiedy to było, przed wiekami?

Tego dnia zwaliła się na nas nowa góra nieszczęścia. Nadeszła wiadomość o wystąpieniu Rosji. Parę godzin czułem się jak nieprzytomny, nie wiem czy ze zmęczenia, dość że niewiele z tego pamiętam. Powiedzieliśmy żołnierzom co zaszło, wszystkich nas nurtowały myśli, których nie sposób wyrazić. Niemcy zaatakowali nas w duktach puszczy, trzeba było się bić, sam Abraham strzelał z działka przeciwpancernego. Gdyśmy ich odparli, zdawało się, że to ostatni nasz zryw, teraz już tylko zdechnąć. A tu mówią, że idziemy na Sieraków, trzeba brać go szturmem.

Zapadał już zmierzch, gryzłem wczorajszy chleb z kiełbasą, gdy ktoś krzyknął: tworzymy kawaleryjski team. Śmieszne słowa, niema w nich żadnej magji a jednak podziałały na nas jak rozstrzygnięcie wszystkich wątpliwości. Dostałem rozkaz ubezpieczenia lewego skrzydła 7go DAKu. Natarcie na Sieraków miało się zacząć w nocy. Siedział tam jakiś oddział pancerny. Podciągnęliśmy na swoje miejsce. "Kawaleryjski team" — powtarzali ułani przy spotkaniu, tak jak mówi się hasło i odzew. Gdy zapadła ciemność, na niebie znowu rozpaliły się łuny, tylko czerwieńsze niż wczoraj. Orjentowaliśmy się już, że jedna z nich wznosi się nad Modlinem, druga, dalsza od nas, nad Warszawą. Odgłos dział przybliżył się także.

Muszę się przyznać, że znaki te mówiły nam więcej, niż jakakolwiek inna wiadomość. Dotychczas byliśmy jak tabaka w rogu, nie wiedzieliśmy nic co się dzieje; czy już pakować manatki czy jeszcze się trzymać. Teraz stało się jasne — tam biją się dalej, nie wszystko skończone.

Z boju o Sieraków widziałem niewiele, miałem własną robotę. Założyłem fugasy w duktach, gdzie spodziewaliśmy się wypadu Niemców. Szturm zaczął się o świcie. Artylerja, którą osłaniałem, pracowała idealnie. Kapitan N. jeździł motocyklem od stanowiska do stanowiska i kierował ogniem. Niemcy próbowali kontrataków, ich pancerne wozy podeszły nawet pod flankę artylerji. Pięć jednostek wyleciało w powietrze na moich fugasach.

Rankiem byliśmy we wsi. Minęliśmy ją i poszliśmy dalej. Kiedyśmy dotarli na lizjerę puszczy, generał w bandażach zrobił odprawę.

Dowiedzieliśmy się, że Warszawa jest otoczona ale się broni. Tak jak my w puszczy i jak wszyscy w całym kraju. Nasze domysły okazały się prawdziwe. To ważna rzecz.

Okazało się jednak, że atakować dalej nie możemy, bo amunicja się wyczerpała. Jedynem wyjściem było zostawić konie, podzielić się na plutony i przebijać się na własną rękę.

Wstawał nowy dzień. Na niebie widać było ciemne piętna dymów. Łoskot dział rozlegał się nieprzerwanie. Zebrałem moich żołnierzy, podzieliliśmy się na grupy. Mieliśmy po pięć, sześć nabojów w karabinie. Nałożyliśmy bagnety na broń.



Generał Sosnkowski i 12-letni sierota włoski Gennaro Cosenz, adoptowany przez naszych żołnierzy.

STANISŁAW STROŃSKI

WSKRZESIĆ EUROPĘ!

Jakie losy czekają Europę?

Europa jest wprawdzie niewielką częścią lądu tej ziemi, bo niewiele ponad jedną czternastą, ale niewątpliwie nienajlichszą.

Tak to przynajmniej wygląda od dłuższego czasu, bo od jakchś 2,500 lat, kiedy Grecja a po niej Rzym rozwidniły zaranie dziejów. Mniej znane pospolicie, lecz nie mniej wielkie, jest średniowiecze, spowite urokiem i osnute urokami, krzewiące chrześcijaństwo i dochodzące do rozkwitu koło r. 1000, od świątyń romańskich, zakonów, wypraw krzyżowych, rycerstwa, gotyku, przepysznego bogactwem i wdziękiem piśmiennictwa francuskiego, uniwersytetów, ustroju miast i państw, aż do Dantego i wczesnego Odrodzenia, a wreszcie, **last not least,** do odkrycia Ameryki. Europa doby nowożytnej jest na szlaku pięciu wieków, jakby nieprzerwanym pochodem wspaniałej twórczości, zawrotnych wynalazków, nieprzewidzianego postępu, jednem słowem, bezmiaru dzieł, dokonywanych z amerykańską szybkością, przy azjatyckiej mądrości, w afrykańskiej biedzie, na niewiele ponad australijską mniej szczupłej przestrzeni. W całości Europa to mrowisko pracy, rój myśli, ciżba dzieł, jakby jeden wielki pokaz, rój, istne Vanity Fair, wielka baśń ludzkości nie z marnych tysiąca i jednej nocy, lecz z pół trzecia tysiąca lat.

Wojna obecna toczy się o Europę i to w podwójnem znaczeniu: o panowanie w Europie i o cywilizację Europy.

Hitler, wszczynając tę wojnę, wyruszył na podbój Europy. Wiedział, że władca Europy, która posiadłościami i łącznościami swych państw sięgnęła rozlegle na lądy i morza, będzie władcą świata. I to pozostanie prawdą, ktobykolwiek opanował Europę.

Nacjonal socjalizm niemiecki obwieścił, że chrześcijańska cywilizacja europejska i światowa przeżyła się, a teraz on zaczyna nowe dwu-tysiąclecie. Wojna obecna toczy się w obronie wiekiego dorobku wieków promieniującego z Europy na świat. Nie samo tylko pobicie Niemiec, lecz także uratowanie chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej jest naczelnym celem tej wojny.

Tu tkwi sedno sprawy.

W dobie naszej zjawiły się prądy nowych pojęć i nowych dążeń, niezmiernie prężne i gwałtowne, które powiedziały:

— Budujemy nowy świat. Robimy **tabulam rasam** z przeszłości. Zaczynamy największy przewrót w dziejach ludzkości w dziedzinie religji, rodziny, prawa, ustroju społecznego, sposobu rządzenia.

Tak powiedział w r. 1917 bolszewizm rosyjski. Tak powiedział w r. 1922 słownie a od r. 1933 czynnie nacjonal-socjalizm niemiecki. Są one bardzo od siebie odmienne, ale dążą, jeden i drugi, do zerwania z przeszłością, do zejścia z podstaw 2000 letniej europejskiej cywilizacji chrześcijańskiej, do przewrotu całkowitego.

W zespole Narodów Zjednoczonych istnieje również przeświadczenie, że światu potrzebna jest wielka zmiana, wielka naprawa, wielki postęp. Postęp, budujący na dorobku dotychczasowym, ale nie przewrót, burzący ten dorobek, w złudzeniu, że dopiero teraz zacznie się coś dobrego.

Demokracje, wyznając własne poglądy są jednak powściągliwe, zgodnie ze swym duchem i usposobieniem, w narzucaniu ich innym i w występowaniu przeciw odmiennym dążnościom państw w ich polityce wewnętrznej, w myśl zasady: wolność Tomku w swoim domku.

Hitleryzm, po objęciu rządów w Niemczech w styczniu 1933, był pozostawiony przez państwa demokratyczne własnym losom, a nawet usiłowano współżyć z nim spokojnie. Rzesza niemiecka nie została usunięta z Ligi Narodów, lecz sama z niej wystąpiła w październiku 1933. Jeszcze w r. 1934 podjęta była próba zawarcia europejskiego Paktu Czterech obejmującego W. Brytanję, Francję, Niemcy i Włochy, co się jednak ostatecznie rozbiło o poczucie demokracji brytyjskiej i francuskiej, wówczas zwycięskie, że nie należy narzucać Europie takiego przewództwa Czterech. Jeszcze w r. 1938, po uderzeniach Niemiec na Austrję i Czechosłowację, było sławne Monachjum właśnie w gronie czterech mocarstw. Dopiero gdy w r. 1939 Niemcy ruszyły na podbój Europy, zaczynając od Polski, która stawiła pierwsza opór zbrojny, powstał zespół Narodów Zjednoczonych, który dziś walczy nietylko o uwolnienie Europy, lecz także o zniszczene ogniska zbrodni w Niemczech.

Rosja Sowiecka buduje u siebie nowy ustrój już przez ćwierć wieku z górą. Demokracje Europy i Ameryki, nie podzielając poglądów Rosji Sowieckiej, uznały jednak ten rozwój za jej sprawę, na gruncie wewnętrznym rosyjskim, ustalając poprawne współżycie z nią na gruncie międzynarodowym. Stanąwszy w gronie Narodów Zjednoczonych w toku tej wojny, Rosja Sowiecka, po oświadczeniu Stalina z 6 listopada 1941, że nie dąży ani do podbijania krajów sąsiednich, ani do narzucania im swego ustroju, przyjęła 1 stycznia 1942 Kartę Atlantycką, uchylającą podboje oraz 15 maja 1943 zniosła Komintern. Na tych podstawach, przy rzeczywistem ich stosowaniu, trwać może współdziałanie.

Lecz dla ratowania Europy, tj. chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej, niezbędne jest przedewszystkiem... wskrzeszenie Europy.

Dziewięć państw europejskich, które powstały w kręgu europejskej cywilizacji chrzecijańskiej i które są od wieków jej współtwórcami, Francja, Belgja, Holandja, Luksemburg, Norwegja, Grecja, Jugosławja, Czechosłowacja i Polska, walczą w zespole Narodów Zjednoczonych przeciw Niemcom. Opór podziemny w przeważnej części tych krajów jest bohaterski, bezprzykładnie w dziejach ludzkich, a również udział wielu z nich w wojsku, marynarce i lotnictwie Sprzymierzonych jest bardzo piękny. Temi narodami i państwami nie może rządzić ani po wojnie ani już podczas wojny grono kierownicze trzech czy czterech Wielkich Mocarstw. Im należy się współudział w kształtowaniu losów własnych i losów Europy.

Akt wspólny 26 państw w Waszyngtonie z 1 stycznia 1942 stworzył zespół Narodów Zjednoczonych. Lecz to grono nie zebrało się ani razu od dwu zgórą lat, nie żyje, nie działa.

P. Churchill w mowie z 23 marca 1943 zapowiedział stworzenie Rady Europejskiej państw tego lądu. W naradzie trzech ministrów spraw zagranicznych w Moskwie, Cordel Hull — Eden — Mołotow odstąpiono od tej myśli i powołano Komisję Europejską, złożoną z przedstawicieli tych trzech państw, która nic nie robi w Londynie. Niezwłoczne powołanie do życia Rady Europejskiej ogólnej Narodów Zjednoczonych jest dzisiaj rzeczą zdrowego rozsądku i poczucia prawa.

Kto w tej wojnie o wolność Europy bierze na siebie odpowiedzialność za odsuwanie od głosu walczących w gronie Narodów Zjednoczonych państw Europy?

Czy w ten sposób dojdzie się, w miarę wypierania Niemców z krajów podbitych, do wolności Europy czy też do czegoś całkiem innego?

Jest to sprawa nietylko bardzo jasna ale i bardzo nagląca.

JAN LECHOŃ

"ANIELCIA"

Wzsystkie okropności, okrucieństwa i żałoby, które są codziennem życiem w Polsce, my, oddaleni od tego życia, możemy przeżyć dlatego jedynie, że w gruncie rzeczy nie wierzymy w nie, że czytamy o nich jak o jakiemś przerażającem widowisku, a nie o żywej prawdzie. Każda niemal wieść z kraju jest to wieść o śmierci kogoś bliskiego, kogoś kogo zdawało się nam zawsze nie można było by zastąpić. I wieści tych jest tyle, że, najgłębszy wstyd to powiedzieć , przestajemy je odczuwać, bo nie możemy w nie uwierzyć; podświadomie zdaje się nam, że w pewnej chwili okażą się te wszystkie wieści nieprawdą, że zły koszmar, który je niósł, rozwieje się i na miejscach nietkniętych okropnością tej wojny spotkamy wszystkich tych, których tak pragnęliśmy widzieć i których naprawdę nigdy już nie zobaczymy.

I oto prawem, którego moc znają wielcy artyści, osiągający najgłębsze nieraz wzruszenia, gdy załamują wielkie uczucia i wypadki w pryzmacie codzienności, zdarza się nam, że najnieoczekiwaniej wzruszy nas jakaś wieść z kraju niebardziej niezwykła niż inne, że ona właśnie uświadamia nam okropny los naszych bliskich, ogrom spustoszeń i żałoby.

Ostatnia poczta tajemna z kraju przynosi wieść o śmierci Anieli Zagórskiej, o śmierci nie w obozie koncentracyjnym, nie na skutek tortur i męczeństwa, ale śmierci poprostu, jeżeli tak okrutną rzecz powiedzieć można.

I oto, mówię to o sobie, ale jestem pewien, że wielu z moich przyjaciół tak samo tę wiadomość odczuje, to właśnie zdarzenie napełnia nas jakiemś bolesnem zdumieniem, otwiera nam szeroko oczy na żałobną przemianę całego życia polskiego, któreśmy znali i którego nie możemy, nie chcemy sobie wyobrazić innem.

"Anielcia umarła! To niemożliwe. Nie będzie Anielci, kiedy wrócimy do Warszawy". I w tej chwili rozumiemy jasno, że niema już tej Warszawy, która była nasza.

Aniela Zagórska nie była młodą panienką i należała do pokolenia które już przed poprzednią wojną uczestniczyło w życiu; choć o wiele młodsza była przecież zdawna przyjaciółką Żeromskiego i Sieroszewskiego. A przecież dla nas wszystkich młodszych od niej jak też dla rówieśników oraz starszych swych czcigodnych przyjaciół była poprostu "Anielcią". W świecie literackim nie można się było pomylić o kogo chodzi, gdy się użyło tego zdrobnienia; "Anielcia" była to bowiem zawsze i jedynie panna Aniela Zagórska.

To przyjazne zdrobnienie, to imię niosące romantyczne echa i wspomnienia, przystawały jak żadne inne do egzaltowanej uroczo naiwnej, wdzięcznie staromodnej, wszystkiemu życzliwej, drobnej, zawsze uśmiechniętej, doskonale po wiejsku wychowanej panny z dworku, która przez ważny zbieg rodzinnych spraw stała się prawdziwą literatką i choć, nie twórczyni oryginalna, zasłużyła się rzetelnie naszej literaturze.

Aniela z "Beniowskiego" o gorącej główce, Aniela ze "Ślubów" rozmarzona i naiwna mogły uchodzić za prawdziwe patronki Anieli Zagórskiej która zresztą przed poprzednią wojną w czasach, gdy była moda na teatry amatorskie, grała podobno nie gorzej od zawodowych aktorek Anielę fredrowską na sławnem przedstawieniu w Zakopanem, gdzie tryumfował obok niej najlepszy podobno w Polsce, choć amatorski Albin późniejszy minister August Zaleski.

Wieniawa nazwał kiedyś Anielcię z pełną życzliwości ironją "dewotką literatury polskiej". Przesadnie ale dobrze określało to prawdziwe nabożeństwo panny Anieli do książek i pisarzy, zachwyt głośny i zawsze młodzieńczy dla wszystkiego co było piękne, dla wszystkich którzy pięknie pisali w naszej literaturze.

Ukazanie się "Wiatru od morza" albo "Szabli i pióra", albo nowego wiersza Wierzyńskiego czy Słonimskiego były to dla panny Anieli radosne wydarzenia osobiste, między któremi zawierało się poprostu jej życie.

Płynęło to napewno z wrodzonej, najszlachetniejszej jakże dziś rzadkiej skłonności do zachwytu, i jeśli w towarzystwie pojawił się ktoś bardzo interesujący, albo dama w szczególnie pięknej sukni, jeżeli usłyszała panna Aniela jakiś żart, ponad inne bardziej błyskotliwy składała niemal ręce do zachwytu i wydawało się że jest poprostu szczęśliwa.

Ale owa chęć widzenia w ludziach i rzeczach tego przedewszystkiem co najlepsze nie tłumiła bynajmniej w pannie Anieli daru, rozróżniania wartości nie uczyniła jej bynajmniej bezkrytyczną. Tak jak dobre książki pięknych ludzi uważała Anielcia za swoje prywatne szczęście tak zła książka, zwłaszcza dzieło przyjaciela, zły czyjś postępek odczuwała osobiście, matrwiła się niemi, jakby była niemi prywatnie dotknięta, jakby były one przeciw niej wymierzone. Pamiętam doskonale jedno z takich jej przeżyć: "Pożegnanie jesieni", powieść Witkacego, którego ostrość umysłu uwielbiała, ale którego ostateczny, bluźnierczy pesymizm był przeciwieństwem jej natury.

Kiedy teraz myślę co sprawiało, że Anielcia takie miejsce zajmowała w naszem literackiem życiu, co było powodem, że choć podkpiwaliśmy sobie z niej czule wszyscy mieliśmy dla niej tyle przyjaźni i więcej niż chcieliśmy okazać szacunku, gdy zastanawiam się nad tem dlaczego tyle myśli i wspomnień budzi we mnie wieść, że już jej niema, uświadamiam sobie jasno, że bardzo wiele z tego to było piękne, szlachetne w epoce Legjonów i Żeromskiego, w epoce pozytywistów czułych jak Prus i romantyków realnych jak Piłsudski — wyraziło się jak w książce dla wszystkich przystępnie, naiwnie, rzewnie a zarazem głęboko w uroczej postaci, w ładnem życiu, w rzetelnej robocie pisarskiej Anieli Zagórskiej. Jej skromne warszawskie mieszkanie było nie muzeum pamiątek z tych czasów, ale jakby domem zamieszkałym przez ducha tej epoki: sławny portret Piłsudskiego już w legjonowej kurtce, ale jeszcze z brodą, dzieło i arcydzieło Antoniego Kamieńskiego wisiał na ścianie, obok starą modą jedna przy drugiej poumieszczanych fotografji rodzinnych i przyjacielskich, wszystkich prawie o jakiejś historycznej wartości. Na tem tle staroświeckiem wśród mebli skromnych, ale cennych swą solidnością i wspomnieniami, wśród, mógłbyś przysiąc, zapachu larendogry i lawendy Anielcia Zagórska, wiecznie uśmiechnięta i zachwycona, przewodnicząc pokojówkom w białych fartuszkach, z regularnością wielkoświatowych dam, obowiązanych mieć swoje "jours-fixes" przyjmowała, nie pamiętam w jakie dnie miesiąca, wszystkich, którzy coś znaczyli w polityce i sztuce i którzy wszyscy skwapliwie śpieszyli na te "żurki": politycy przekonani, że spotkają tam artystów, artyści, że dowiedzą się z pierwszego źródła o polityce. Zblazowani ambasadorzy wielkich mocarstw, rychło zorjentowali się jakim przywilejem jest bywać u Anielci, jak bardzo te wizyty zbliżają do istotnego polskiego życia; to też nie było tam herbatki, na której nie spotkałoby się grup tak kontrastowych jak Ambasadora Laroche'a i Żeromskiego, albo Lady Max Muller i domorosłego Goetla, albo Sławka z jakimś radcą francuskim.

Zawsze idealnie uprzejma dla wszystkich bez trudu zgromadziła Anielcia razem Polaków różnych przekonań, którzy już wtedy rzadko spotykali się na oficjalnych przyjęciach.

Urok szczególny, atmosfera niezwykłości, któremi te przyjęcia, jak i sama osoba Anieli Zagórskiej były osnute, pochodziły w znacznej mierze z faktu, że była ona siostrzenicą Józefa Conrada i to nie jakąś tam daleką kuzynką, ale bliską mu osobą, z którą pozostawał w stałej korespondencji, która podsycała w nim i zachowywała jego polskość i która przez swą klasę duchową, przez takt wrodzony i pełną inteligencji admirację, jaką miała dla jego dzieła, była wobec wielkiego pisarza, sama przez się nieustanną naszą propagandą. Ktokolwiek zajmował się Conradem w Polsce czy zagranicą, wszyscy jego przyjaciele biografowie i krytycy znali doskonale nazwisko Anieli Zagórskiej, wiedzieli o jej systematycznej i bardzo ważnej korespondencji z wielkim pisarzem, ciekawi byli jej wytrawnego zdania o niejasnościach jego życia czy o ukrytem znaczeniu scen z jego powieści. To stanowisko w światowej "Conradologji" dawało też pannie Anieli pewną międzynarodową, bardzo solidną pozycję, z której łatwo sobie było zdać sprawę, uczestnicząc wraz z nią np. w zjazdach Pen-Clubu zagranicą.

Można też powiedzieć śmiało, że nigdy Conrad nie stałby się tem, czem był dla nas, nigdyby nie powrócił poprostu do literatury polskiej, nie odegrałby tak wielkej roli w przemianach polskiej psychiki, nie został mistrzem i przewodnikiem młodzieży, gdyby nie równe pięknością oryginałom, sięgające do samej istoty jego genjuszu przekłady jego powieści dokonane przez Anielę Zagórską, i gdyby nie cała jej działalność wytrwała i solidna zmierzająca do uprzystępnienia nam conradowego dzieła.

Trzeba tylko sobie przypomnieć czem były przekłady z literatury obcej w Polsce i to nietylko zbrodnicze wybryki nieodpowiedzialnych wydawców i samopiszących dam, ale również lekkomyślności wybitnych pisarzy nieświadomych że nie znają obcej mowy, trzeba przypomnieć sobie np. różne przedbojowskie morderstwa dokonywane na literaturze francuskiej, trzeba po cichu wypowiedzieć sobie parę nazwisk takich straszliwych przekładców, aby zrozumieć, że nie podany tak jak był dzięki sztuce i poprostu natchnieniu Anieli Zagórskiej mógł Conrad poprostu przepaść dla nas, stać się literaturą nudną i nieczytelną.

Cała jego poezja, cała wielkość, romantyczny czar jego zadumy, bez brzeżne perspektywy jego męskiej melancholji, wreszcie arcypolska muzyka jego angielszczyzny, którą tak zdumiewali się i zachwycali Anglicy — wszystko to Anielcia zrozumiała, odczuła i wysiłkiem imponującym stylisty i językoznawcy oddała tak idealnie, że Conrad stał się odrazu lekturą dla wszystkich, że jego każdy tom oczekiwany był jako prawdziwa literacka premjera niczem nowy romans Żeromskiego lub nowy tom Tuwima. Nagroda Pen Clubu, krytyki pełne zachwytu, bez zastrzeżeń uznały te zasługi i te niechybne oznaki niezwykłego talentu i kultury Anieli Zagórskiej; wdzięczność wyrażana entuzjastycznie i systematycznie, przyjaźń głęboka Józefa Conrada były za te zasługi prawdziwą dla niej nagrodą.

Jest też pewne, że tego imponującego, niezniszczalnego dzieła nie dokonałaby panna Aniela nigdy, gdyby nie wiązał jej z twórczością jej wielkiego kuzyna istotny, duchowy związek, gdyby nie zrozumiała ona naprawdę całej wielkości, całej nowości tej napozór tak nienowatorskiej literatury, gdyby nie zdawała sobie sprawy, że te morskie opowiadania, o niebogatej akcji, pisane a nieraz też czytające się mozolnie są takiemi samemi objawieniami odrębnej psychiki, własnego spojrzenia na świat jakiem był kiedyś Stendhal a później Dostojewski.

W tem wyczuciu, w tem przywiązaniu niecodziennem i nie przypadkowem, ale naprawdę wyznawczem Anieli Zagórskiej do świata Józefa Conrada okazywała się cała powaga, cała nie dewocja, ale głęboka, rozumna wiara w literaturę owej egzaltowanej sentymentalnej starszej panny. Ktokolwiek widział Anielcię przy pracy nad jej przekładem, ktokolwiek rozmawiał z nią o stylu Conrada, o jego bohaterach, kto pamięta, że nic zdawkowego nie wyszło nigdy z jej ust na ten temat, ten wie dobrze, że była ona nietylko najbardziej czułą miłośniczką polskiego piśmiennictwa, ale jednym z najrzetelniejszych jego pracowników.

Anielcia mieszkała zawsze sama ale zdawała się mieć życie tak wypełnione przyjaźniami i pracą że nie wydawała się nigdy samotna. To też, kiedy myślimy dzisiaj, że było pusto koło niej w chwili, gdy rzucała ostatni uśmiech pożegnania swoim staroświeckim mebelkom, swoim książkom i szufladkom pełnym listów i pamiątek wierzymy, że w tej nawet chwili czuła się otoczona przez swój świat i pewna, że odchodząc idzie za przewodnią jasną smugą swojego życia. I że Piłsudski z portretu Kamieńskiego i Conrad z czule dedykowanej fotografji spojrzeli wtedy na swoją najwierniejszą wielbicielkę i że to spojrzenie było ich powitaniem, jakby chcieli powiedzieć: "Ach to ty dobra Anielciu".

ALEKSANDER JANTA

ROSJI

Nie zazdrościmy nikomu.
Lecz gdy innym obszary i chwała,
Gdzie los naszego istnienia?
Odtąd prosta nam droga została
Cierpliwości, męstwa i cierpienia
Poprzez miłość do własnego domu.

Położony śród cierniowych granic
I rozszarpany na ćwierci
Patrz — trwa uporem powstania!
Dla nas — rzecz życia lub śmierci,
Nie do przetargowania,
Nie do pozbycia za nic.

Bo nie łaski i nie darowizny
Czekamy w dniach, które wstaną
Z poświęcenia wszystkiego co było,
Co wydarto nam i odebrano.
Prawo nasze także jest siłą
W wspólnym świecie każdej ojczyzny.

Przełkniemy gorycz zawodu,
Puścimy w niepamięć mękę —
Nad grobami najmilszych co milczą
Wyciągniemy do tej zgody rękę,
Ale ludzką rękę, nie wilczą,
Ale rękę wolnego narodu.

HERMINJA NAGLEROWA

BREAD

The "Kirpicz", out of which the mud-cottages were built, dried out and crumbled in the blazing heat of the sun. The walls cracked, and through the cracks the light made its way. In the mornings the light was like a lucid tablet, but as the hours passed, it became yellowish, and stronger, and finally came in motion from the dust particles circling in it. Janek used to think those sparks of dust looked like tiny little flies. When the sun moved to the other wall, the light in the crack became a motionless tablet again. This disappeared in the dusk.



Polish child rescued from Russia: Barbara Kucińska, age 2

The movement of the light was Janek's sun-dial.

His mother went out in the dawn with his elder brother Jędrek to work in the steppe. They made themselves ready in the dark, trying to move as quietly as possible. Janek pretended to sleep, and his mother bending over him, sighed with relief:

"It is good, he didn't wake up. Seems to have no fever today".

Janek heard her place a cup with boiled water on the earth beside him. He even perceived the sound of the slice of bread placed on the top of the cup. Without looking up, he knew that mother made the sign of the cross above him. But Jędrek nearly aloud admonished her to hurry: — "Let's go now", he would say. Or we'll bet the heaviest rakes".

As soon as they left Janek opened his eyes. For a few seconds he tried to look at the gray air filling the small room. But that was not exciting. The greenish light of the predawn hardly pierced through the crack in the wall.

"It's not even four o'clock yet", stated Janek and he closed his eyes again, not to fall asleep but to give himself to imaginations.

Those developed from whatever it was. Sometimes he dreamed them up directly from his inner own, at other times again a word would lead on to ever changing pictures. Jędrek had sad the word "rakes". And immediately Janek visualized a bright sunny day in Kaniówka, where he once had spent his vacations with his friend Kazik. They were in a meadow, where peasants were raking hay. Janek and Kazik lay in a stack, and the hay smelled like incense. Clouds tinted silvery by the gleam of the sun flowed over the pale blue firmament. The swallows flew low, and their cries were like the creaking of a knife against glass.

"Rain is in the air, that's why they are flying so low", said Kazik. Janek argued there would be no rain. Kazik called him a city-child. What does such a kid from Lwów know about these things? They started to quarrel, grew angry with each other, but made up later and raked hay jointly. The rakes were heavy and the handles far too big for them.

That was long ago, two years ago, may be. Now Janek was no more angry with his friend. He thought full of concern: Where is Kazik now? Perhaps he, too, was deported so far, so far as Kazachstan? Jędrek

calculated once that Lwów was more than 5000 miles away. Five thousand, that was a big figure. Five thousand, — that was very far.

That feeling was well known to Janek, which at first stirs the heart in irregular beats, and then torments one in a woe, that encompasses all and does not reach anything. This feeling is called longing, and it is akin to hunger, when there is nothing to satisfy it with.

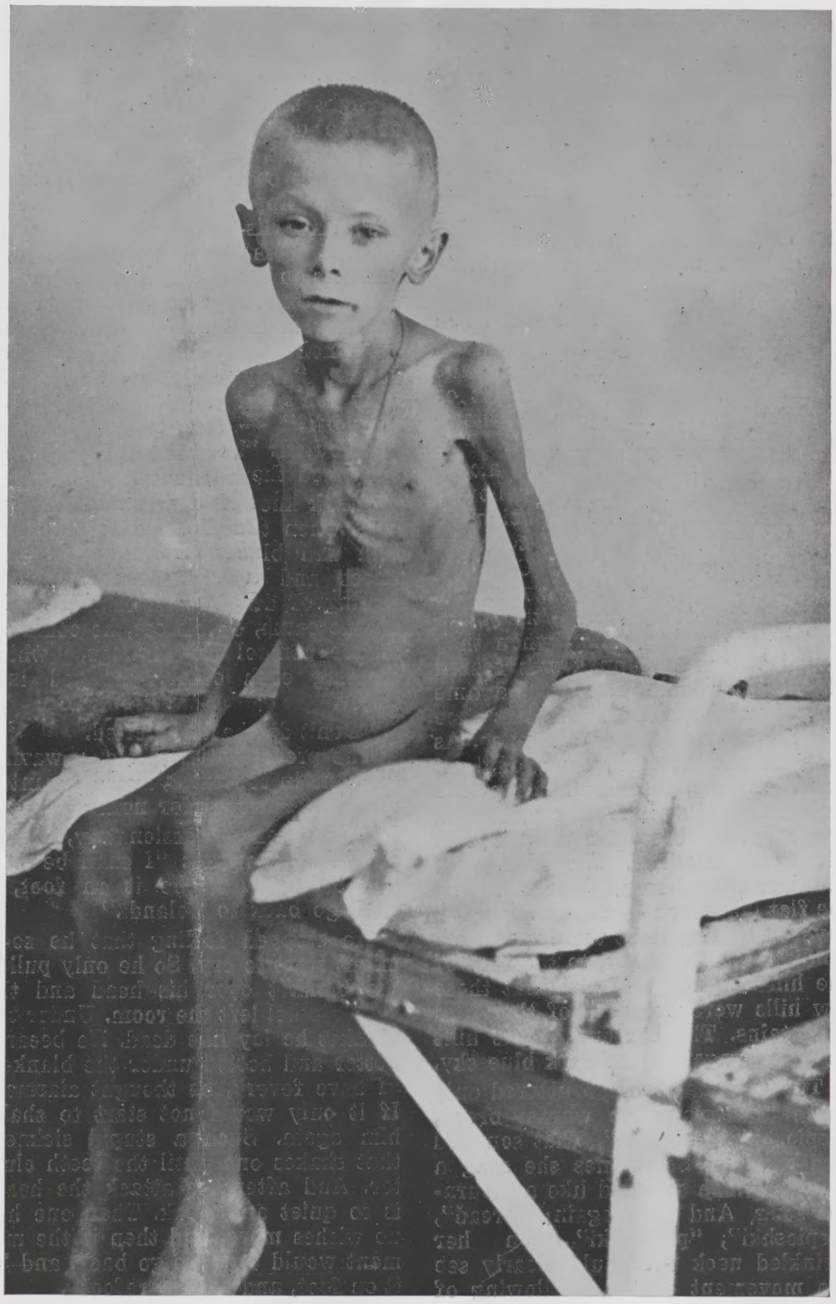
Without opening his eyes Janek reached for the bread and water. He ate and drank "blindly" and very slowly, taking small bites only. In this way he made himself believe that he had a big piece of bread. He also could persuade himself to believe that the bread was buttered. The water was insipid, but with stubborness one could imagine that it wasn't water, but tea, cocoa or milk.

He consumed the whole portion of the bread and drank the whole cup of water. He should have divided it, so as to eat a little now and to leave a little for later. Mother used to admonish him: "Not all at once, Janek. You'll be hungry for the rest of the day." — But wasn't it all the same? He was hungry anyhow, already now after the breakfast. Mother will prepare kasha or barley-soup in the evening, when she comes back. He would prefer kasha, much of it, heaped upon his plate.

Already to think of it was painful and somehow offending. Jędrek, who was not choosy in his words, said once: "A man does not think here of anything else but his belly". And mother worried: "How shall I feed you? Janek is so skinny, malaria is eating him. Jędrek is growing, and he works so hard." — And also mother thought only of the belly, for there was kasha left only for a few days in the bag. She cut the small loaf of bread justly in three parts, cutting with the knife a figure similar to an "Y". Her hard worked and sunburnt hands were so brown as the crust of the bread. The veins on her hands also reminded one of the letter "Y". Jędrek pretended only not to look greedily at the bread. Sometimes mother would say: "Eat it up, Jędrek, for I have no appetite today". Jędrek hesitated, he did not want to take it, but finally he ate it. Janek would not have confessed it to anybody that while he saw Jędrek eating the additional portion of bread, he stopped liking him for a moment.

And then usually mother would say with no apparent connection: "I couldn't manage without Jędrek". And that was the truth. The efficient, strong and healthy boy did everything. He made a table from boards, which he somehow managed to obtain, he made a hearth from stones, collected dry stalks for cinder in the stepe, he carried water from the streamlet flowing half a mile away. And one time he even brought a piece of sugar to Janek.

And suddenly Janek started to think again of how much he would like to eat much sugar and a whole loaf of bread. If everyone of them had a whole loaf of bread every day, then perhaps it might be enough, perhaps they would not be hungry. Many times when he could not stand the hunger any more, he had swallowed the quinine with the paper. He dipped the paper in water, formed a small ball of it, swallowed it, and when it stuck in the throat, he took a mouthful of water. He did not feel then the bitter taste of the powder, and he had the feeling of having got rid a bit of the emptiness in his stomach. But for some time already he had not received any quinine from the "medsiestra". She did not come any more to him. When she came to see him the last time, she advised



Polish child rescued from Russia: Juljan Swostyk, age 10

him to see to it to become well again.

So Jędrek started out to get quinine from the nearest small city which was about thirty kilometers away. But he lost only two working days for he did not get the medicine in the drug-store. "There is no quinine, and there won't be any", the druggist had told him. And so Jędrek announced to Janek in a dull voice: "Try to get well, for we shall not stay here for ever". — Janek understood Jdrek excellently. For, come what may, they will go back to Poland, to Lwów, and again they will live in the same apartment at the Nabielak street. Again they will play football, and all will be as it used to be. For that over there was real, — while here everything was a dream. That over there waited for you to awaken, to open your eyes.

Thus Janek opened his eyes, but the "over there" ceased even to be in the picture of the imagination; the eyes conceived only the gray walls of the mudhouse and the tablet of the sun light as if squeezing itself through the crack in the wall.

"Seven o'clock", Janek said aloud.

In the steppe the donkey bellowed cryingly, somewhere in the neighborhood a rooster crowed. And soon the trotting steps of the old Casanian woman were heard, who owned the donkey, the rooster and the mudhouse. In the beginning, when they rented the room, Janek was scared of the old woman. But after a time he got accustomed to her flat face and the hoarse tone of her voice. As soon as she entered, she would sit down on the threshold. Then she looked unreal as if from a picture in her sapphire blue faded coat and her white kerchief. The frames of the door were like a frame enclosing the flat landscape — the gray steppe, covered by dried out thistles and extending far, far away, to the foot of the hills. Jędrek told him that those low hills were branches of the Altai mountains. The contour of the hills was wavy against the dark blue sky.

The Casanian woman uttered only three understandable words: bread, "lepioshki, "peroshki". That sounded like a verse. Sometimes she sang a melody which sounded like a mournful song. And then again: "bread", "lepioshki", "pieroshki"... On her wrinkled neck one could clearly see the movement of the swallowing of the spittle. Unwillingly Janek swallowed his saliva in the same way. Sometimes the Casanan gave him a handful of sunflower pits, at the same time smiling understandingly. And once she brought him a whole sunflower with its yellow flower petals and with the fluff of yellow stamens on the central disk. It looked pretty, but the pits were still white and empty and not edible.

And also today the Casanian entered the room to say the same three words: "bread", "pieroshki, lepioszki".... Later she sang her lamento and left. The day became long for Janek. If he could have read awhile in his reader called "Yesterday and today", but he was not allowed to take it out of the grip which was locked. For from time to time the "predsiedatiel" came to search in all corners.

Right now he stood in the frame of the door, tall, his leather belt pulled tight. His cap was sitting so far in the back, that a black lock of his hair slipped forward from below the brim. His boots were as always covered with dust. He spotted the matches on the box and lit a cigarette rolled from a piece of newspaper. Sucking at it a few times, he blew the smoke into the room. Then he yelled: "Why do you lie around? Why don't you go out into the steppe to work?" — And stepping nearer he shouted: "Forward! Get up" and he pulled the blanket from Janek.

Janek knew how thin he was, but only when the predsiedatiel saw his thin and blue legs, the protruding knees and ribs, he experienced a feeling of despair and shame. Lying on the earth, on his cot, he could no longer control his feelings, which crossing each other, changed into anger.

"Don't do that!" he cried.

The predsiedatiel spit out, waving his hand in contempt, as if he wanted to say: "You god for nothing, you."

Janek yelled passionately, losing all his self-control: "I shall be well and strong! And be it on foot, I shall go back to Poland.."

He stopped feeling that he soon might start to cry. So he only pulled the blanket over his head and the [illegible]edatiel left the room. Under the blanket he lay like dead. He became hotter and hotted under the blanket. "I have fever", he thought alarmed. If it only would not start to shake him again. Such a stupid sickness that shakes one until the teeth clutter. And after the attack the heart is so quiet and weak. Then one has no wishes more, and then if the moment would come to go back, and be it on foot, and be it barefoot...

Janek took the blanket from his face. The presiedatiel had closed the door behind him. It was very hot and sticky in the room. At noon time the mud house grew very hot and then Janek suffered much from thirst. He often pondered over the question what was easier to endure, hunger or thirst. But it was better not to go too deeply into these problems for then it seemed to him that he simply could not stand any longer, this drying out of the saliva, the twisting of the intestines and the squirming of the stomach. You have to have a strong will and to imagine that you are a wanderer in the desert, he told himself. Once he read of a wanderer who had nothing to drink for several days. And he stood it. In this book also a phenomenon in the desert was described — a phata morgana. It would be good to see such a phenomenon. It he only could have for an hour the lluson that the salvation was near. For thus it was written in the book "the salvation is near".

Janek remembered that his was a salvation, not an imagined one, no, quite a real one. This was the box with his treasures. As aften as he looked into the box, he managed to forget the tormenting hunger. For in the box he kept a silver two-złoty piece, a button with the eagle, crayons, shells collected in the sand on the Hel and a student's note book. In the notebook was a map of Poland. The whole of Poland and parts of the neighboring lands. There was Roumania, whereto still last year went Janeks father. There was also Russia, whereto they came in a freght car. They were nearly one month on their way to this distant Casachstan. But this was no more on the map for it belonged already to Asia. At that time there still were many things, which Janek was not yet able to grasp. He was not accustomed to hunger yet, he complained, he even cried. For already in the railwaycar the hunger started, There was a shortage of bread, and towards the end of the journey this was entirely lacking. Two children and an elderly man died in the car. From hunger.

The small notebook with its green covers was a students notebook for the school year 1939-40. Some days were underlined in it as a sign that something important happened on those days. September 1, 1939, the day of the outbreak of the war. September 22 — the Red army enters Lwów. January 10 — father left home to cross the border. April 13 — deportation to Russia. May 10— arrival in Casachstan, in the steppe. And now it was June already. June, — his birthday would be the day after tomorrow.

"This does not mean anything here", Janek was angry wth himself for he already started to dream as he used to in all the previous years, and even still last yeaar. He always was allowed to dream up something special before his birthday, to wish for something. And if the wishes

were not too extravagant, they always came true on his birthday.

Janek smiled woefully and repeated once more: "This does not mean anything here". But supposed mother would ask him "What shall I buy for your birthday?" No, she will not ask him. But if.... And Janek knew, what he was dreaming most of, what he desired most. To have only once, on his birthday, a whole loaf of bread for himself. Only once!

And as soon as he became conscious of it, he was so ashamed. That he did not wish anything else, that he did not think of anything else but of food. Just as Jędrek had put it. But it was not in his power to help it. Even the treasures in the box did not help him today to forget. In reality, they were like the fata morgana which gives illusions but does not mitigate the human sufferings.

The hunger not only contracted his stomach but spread all over the whole body in a freezing feeling of cold. Janek decided to go out into the steppe. He'll go to meet his mother and brother. On the way he will pick some wild garlic and will have plenty to eat.

The steppe, red in the sinking sun looked as if covered with glowing coals. Blazing rays of fire were on the sky and amidst them the huge ball of the sun — a ball of fire itself. Soon, however, the hills swallowed up the sun and immediately afterwards the blueish dusk descended upon the steppe. Janek at first stepped forward bravely. He made up his mind henceforth to march every day, to train for the moment when they would start the long journey back. But soon he began to feel his own weight. His thin legs could not carry him. Even the stomach although empty, seemed to be a big burden. He had to sit down and to rest, and yet he had walked more than fifty steps. The aroma of the wormwood was narcotizing and soon his head was heavy. As if a dream would engulf his thoughts. And would it not have been for the bites of the gnats he would have fallen into a blessed dream of weakness and faint.

Repelling the insects he turned homewards again. It took him a long time, he swerved and fell. Back in the room, which was dark already, he was quite conscious of his defeat. That was the truth: no more strenght was left in him. Nothing would happen any more, nothing. He will be lying on his cot. And when the moment will arrive to go back ,and be it on foot, and be it barefoot... he will remain here quite alone....

Tears came down his cheeks. He did not dry them. The tears came down to his lips and their salty taste somehow seemed to soothe the hunger and the thirst. Suddenly a thought shook Janek down to his very inmost. He was eating himself, for the tears were a part of him, the tears were himself.... He could have screamed from horror, but he was afraid of himself and of his voice.

Thus he waited for the coming of his mother and brother. Jędrek lit the lamp, helped to make fire in the stove. The mother speedily put on a pot with water and threw in a handful of kasha. And while they were eating — mother had also divided the loaf of bread in three parts — Jędrek said, as was his way, in a rough voice: "The day after tomorrów we shall have dumplings and milk." Janek knew, indeed, that it was his birthday, but he did not want to show that he was thinking of it. So he asked only: "Where will you get the milk?" — Jędrek laughed: "Leave that to me. But if you think it's cow milk, you'd beter know it's not. It's goat milk. And maybe you don't like it? Ha?!"

And quietly the mother said: — "Don't torture him, Jędrek. We have enough of it. "She was quiet for a moment and then she went on: "We have enough. And I do not know myself how to tell you, Janek, for everything is so different now. The day after tomorrow is your birthday. I would like you to tell me what...."

She did not finish. But Janek recited quickly, as if fearing that otherwise he would never bring it over his lips: "I wish that you would give me a whole loaf of bread. That I could have a loaf of bread all for myself."

The mother was silent. Even Jędrek did not say anything. And it was then that Janek contrived the idea that mother certainly had not money enough for the bread. And he started to turn everything into a joke. That he spoke of the bread only to bother Jędrek.

"No! No!", denied mother. And one could not know at all whether she would buy the bread or not.

For the whole next day Janek repelled the dream of the bread, as if it were an obnoxious bee. But when he was so starved as to being on the verge of losing his conscousness, the round well baked loaf of rye bread appeared before his eyes. But this was only a fata morgana. As the wanderer through the desert, so Janek wandered through the long hours of the day. The loaf of bread seemed to some nearer. He felt its smell, its taste. And then it suddenly disappeared.

Once it seemed to Janek that he kept the bread firmly in his hands. No it wouldn't escape any more. And he had a knife in his hand, the same with which mother used to cut it into three parts. The same way he, too, cut it, justly into three parts. Carefully he made on the crust a figure somehow resembling the "Y". For mother, for Jędrek, for himself. [illegible]en saw how they took their portions and ate them with appetite.

And the joy he experienced because of this knocked him out of his unconciousness. He whispered in despair: "There is no bread, I want..."

And he became unconscious again.

Then when his people came back, he recovered for a short while. Quite unconsciously he took the bread into his hands, it was a whole loaf, all for him.

"I am going to give it to you", his mother said, "on the eve of your birthday, it's fresh."

He asked for a knife. His voice was so weak that his mother had to kneel beside him, her face close to his. Timidly she asked: What do you say, dear?" And he repeated: "A knife".

But he had no more strength to dvide the bread. The knife fell fro his hand. He could only whisper:— divide the bread. The knife fell from you.... for Jędrek.... and for.... He could not say the word "me" any more. Darkness and silence embraced him.

W POPRZEDNIM 19 (71) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Mission to Moscow; Zofja Bohdanowiczowa: Listy z Polski; Stanisław Stroński: Gdzie są teraz Niemcy; Aleksander Janta: Bitwa pod Lagarde; Bolesław Kobrzyński: Sykomora; Jan Lechoń: In the Depths of Hell; Wawrzyniec Czereśniewski: Wiersz;; Tadeusz Mitana: Książka która pachnie ziemią; The Voice of America; Dział kobiecy; Opinje i zdarzenia.

PIOTR P. YOLLES

O Polsce w Kongresie Stanów Zjednoczonych

Filozof niemiecki Wilhelm Wundt napisał długą rozprawę naukową o heterogenji celów. Analizując zwyczaje nasze i ich źródła, wypowiedział pogląd, że często istotny cel się zgubi, a zwyczaj w toku wielu lat i przemian staje się wyrazem zgoła innego uczucia.

Taka heterogenja celów prowadzi do powstania legend, gdy rzeczywistość zanika, a jej miejsce zajmuje wysubtelnione echo, bezcielesna idea, uczucie lub myśl nowa, współczesna, będące jakby tylko echem właściwego założenia.

Taką legendą jest Konstytucja Trzeciego Maja i kult społeczeństwa dla tej konstytucji. Obchody Trzeciego Maja są po dziś dzień w Ameryce manifestacjami narodowemi, dostosowanemi do chwili bieżącej. Większość społeczeństwa obchodzącego rocznicę Konstytucji nie zna jej treści ani nawet znaczenia historycznego, ale większość ta czci legendę piękną, wkłada w nią treść swych uczuć patrjotycznych, demonstrując zarazem swą wiarę w zasady demokracji.

W tym roku, legenda Konstytucji Trzeciego Maja stała się nową, nad wyraz piękną, manifestacją w Kongresie i Senacie Stanów Zjednoczonych, tak wielką, że można ją nazwać punktem zwrotnym o ogromnem znaczeniu politycznem.

Przed udaniem się do Kapitolu czytałem opis tego co się działo w Sejmie Polskim Trzeciego Maja 1791 roku, kiedyto charakter polski potrafił ogromem uczucia zamienić dynamit społeczny w czyn: zamiast krwawej rewolucji niezwykła rewolucja uczuciowa. Romantyzm polski swym porywem płomiennym porwał ciężką bryłę i uniósł ją wysoko, ponad poziom społeczności.

Wczytywałem się w opis tych obrad i pod wrażeniem tem udałem się do Kapitolu. Upojony czarującą legendą zająłem miejsce na galerji obok żołnierzy, marynarzy, kobiet i mężczyzn, którzy ze zwykłej ciekawości wstąpili na chwilę do Kapitolu.

Kongresman Wasielewski wywoływał nazwiska członkiń i członków Kongresu: "The Gentleman from Minnesota..."

A dżentelman z Minnesota, Knutsen, pochodzenia norweskiego, myśląc zapewne o grobach polskich pod Narwikiem, mówił o Polsce i zakończył swe przemówienie, jak zresztą prawie wszyscy: "Poland, We Salute You". Dżentelman z Iowa, dżentelman z Idaho, z New Yorku, z Michigan, z Illinois, z Pennsylvanii podchodzili do mikrofonu, jeden po drugim, jeden po drugim składał hołd Polsce, wywoływal wielkie duchy Sobieskiego, Pułaskiego i Kościuszki, Conrada i Chopina, Paderewskiego i Skłodowskiej, Kopernika i Modrzejewskiej... mówili o żołnierzach polskch w amerykańskich siłach zbrojnych... przez cztery godziny bez przerwy. "The Gentleman from Connecticut... the Gentleman from Maryland...

"Bez wolnej Polski nie będzie wolnej Europy" wołała urodziwa posłanka Clare Booth Luce. "My zagwarantujemy Rosji bezpieczeństwo, aby nie potrzebowała rabować swoich sąsiadów" mówiła.

A białowłosa posłanka Rogers z Massachusetts mówiła o bohaterstwie polskich chłopaków w armji amerykańskiej, zaś poseł z Pennsylwanji powiedział" Mamy nadzieję, że ambasador sowiecki słucha tego co my, przedstawiciele narodu amerykańskiego, dzisiaj tu mówimy o Polsce. Mamy nadzieję, że wiernie to zaraportuje swojemu rządowi w Moskwie".

Legenda stała się rzeczywistością, wielkim głosem Ameryki, ważną manifestacją polityczną w obronie prawdy o Polsce.

Czołowem zadaniem Polonii Amerykańskiej jest zdobywać Polsce przyjaciół. Zadanie to powinno przyświecać wszystkim działaczom i wszystkim poczynaniom naszym. Gra dyplomatyczna i rozgrywki polityczne mają swój sens i znaczenie — ale ich wartość jest przejściowa i zmienna. Przyjaźń zaś jest wartością trwałą i niezmiernie wartościową, jest elementem stałym, fundamentem na który liczyć można dziś i jutro, w akcji ratunkowej i w politycznej walce.

Przebogata treść legendy o Konstytucji Trzeciego Maja stała się aktualnym bodźcem i kamieniem probierczym stałości węzłów, łączących Polskę z Ameryką. Okazuje się, że te są wyłącznie ideowe: to krew żołnierza, genjusz naszych pisarzy, muzyków i uczonych przypominają Ameryce bezcenny wkład Polonji i prawdę Polski walczącej.

Legenda podźwignęła rzeczywistość polską tak wysoko, iż podbiła ona świadomość amerykańską, nawet w atmosferze okrutnego realizmu i bezwzględnej propagandy.

Musiałem sobie kilkakrotnie powtarzać, że to nie sen a rzeczywistość, że siedzę na galerji sali Kongresu i że echo słów jest rzeczywiste, a ludzie podchodzący do mikrofonu są prawdziwi, kłaniają się w stronę speakera, siedzącego przy białym, marmurowym stole na wzniesieniu odbijającem się od tła olbrzymiego jedwabnego sztandaru gwiaździstego. Poseł Wasielewski wywołuje dżentelmana z Illinois, a dżentelman z Illinois podnosi się, powolnym krokiem podchodzi do mikrofonu, kłania się w stronę flagi i zaczyna — "Mr. Speaker!"

Zamieniłem się w słuch, poddając sę głębokiemu wrażeniu, rosnącemu po każdej mowie, po każdym okrzyku "Poland! We salute You!", "Poland shall live", "Poland lives on".

LISTA OPIEKUNÓW "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Następujące instytucje i osoby, którym składamy niniejszem najgorętsze podziękowanie, poparły ostatnio akcję zakupu prenumerat naszego pisma dla żołnierzy lub wpisały się na listy opiekunów "Tygodnika Polskiego":

Na prenumeraty dla żołnierzy złożyli:

Związek Narodowy Polski, Chicago, Ill. — $100.

Zjednoczenie Polskie Rzymsko Katolickie, Chicago, Ill. — $200.

Na "fundusz prasowy" Tygodnika Polskiego:

Min. M. Chałupczyński, Bogota, Columbia — $20.

Dr. Zygmunt Jaffe, New York City — $20.

Franciszek Januszewski, Detroit— $50.

Konstanty Symonolewicz, New York City — $20.

W. A. Milewski, Erie, Pa. — $5.

Dr. F. Chenik, Detroit — $15.

Akademja Sióstr Felicjanek, Buffalo, N. Y. — $25.

Rev. P. W. Piechocki, Middletown, Conn. — $20.

DZIAŁ KOBIECY

(pod redakcją pani Wandy)

NOWY UROK KOBIECEGO "JA"

Wojna dała kobiecie nowe "ja". Nowe warunki stwarzają nowe formy życia. A ponieważ kobiety są dziś tak bardzo aktywne, borąc czynny udział w wysiłku wojennym, więc też najbardziej cenią prostotę, bezpośredniość, praktyczność, co w sumie tworzy piękną całość. To jest nietylko kaprys mody, to raczej przejaw zdrowego rozsądku naszej wielkiej Ameryki.

Włosy gładko wyszczotkowane, miękie, połyskujące, idealnie czyste. Myte właściwym szampjonem nabierają naturalnego połysku, podkreślając piękno ich naturalnego koloru.

Uczesanie proste, głowa ma kształt mały, — sposób uczesania podporządkowany wygodzie, aby nie mieć z tym za wiele kłopotu. Na czas wojny zapomnijmy o dżunglach loków, o wysokich pompadurach.

Małe kapelusze zadomowiły się na dobre i na długo... Są one twarzowe, ozdabiają główkę koroną z kwiatów, wstążek, kłosków. Są to śliczne cacka same w sobie, a przytym dodają uroku i świeżości gładko przyczesanej głowie.

Nowy kostjum tworzy sylwetkę wysmukłą, pełną prostoty. Równa linja wdół, prosty zarys ramion, wąskie biodra, wąska spódnica, lekko wcięta w talji.

Ta sama prostota cechuje suknie, ale są one dalekie od surowości, naodwrót — pełne kobiecego wdzięku. Falbanka, listewka, uroczy szczegół przerywają jednostajność wąskiej spódnicy, owijającej fgurę, uwypuklając piękno kobiecej sylwetki.

Pani Mala Rubinstein, fascynująca osobistość w świecie piękności i czaru kobiecego, której fotografję zamieszczamy poniżej, swą własną osobowością lepiej niż najbardziej wyszukanemi słowami ilustruje tę czarującą prostotę, grację i żywy urok dzisiejszej kobiety.



Co do "make-up'u": pomadki do warg mienią się od jaskrawego, egzotycznego "Coshinelle" do jasnej, naturalnej czerwieni "Apple Red". Puder i "foundation" w tonach delikatnych i ciepłych, zlewających się z naturalnym odcieniem cery od jasnego Rachel do nowego letniego koloru "Sun Tan".

Niezwykle bogaty jest wybór kolorów, w jakie kobiety się ubierają. Przeważnie kolory jasne, żywe, nawet jaskrawe. Od bardzo bladych aż do egzotycznie krzyczących. Czerwony, orange, żółty, niebieski, zielony, fioletowy, bronzowy, czarny i biały w niezliczonych odcieniach. Można powiedzeć, że każdy kolor, jaki Pani dziś obierze, będzie kolorem modnym...

A więc czas najwyższy zastosować te wszystkie zasady obecnej mody, które stanowią tak uroczą kombinację prostoty i wygody z żywością i uroczym kobiecym czarem. Tak wyglądać powinno nowe "ja" współczesnej kobiety.

OPINJE I ZDARZENIA

NASI DOWÓDCY NA FRONCIE WŁOSKIM

Jak wiadomo drugim korpusem naszym, walczącym obecnie na froncie włoskim dowodzi generał Anders. Generał Duch, bohater kampanji francuskiej stoi na czele Dywizji Karpackiej, przekształconej ze sławnej Brygady Karpackiej. Dywizję Kresową nowosformowaną dowodzi generał Gustaw Paszkiewicz.

PROF. ZYGMUNT ŁEMPICKI ZAMĘCZONY

Niemcy zamordowali w obozie koncentracyjnym znanego germanistę prof. Zygmunta Łempickiego.

TADEUSZ KIEŁPIŃSKI

Zmarł w Londynie członek Rady Narodowej Tadeusz Kiełpiński, wybitny dziennikarz i polityk, b. redaktor katowickiej "Polonji" i działacz Partji Pracy.

Kiełpiński na parę lat przed wojną osiadł w Paryżu jako korespondent prasy katowickiej, a gdy wojna wybuchła był jednym z pierwszych, którzy wstąpili do wojska, mimo że nie był już młodzieńcem i miał słabe zdrowie.

Kiełpiński był bardzo lubiany przez kolegów dziennikarzy dla zalet serca i kultury, które sprawiały że miał zawsze osobiste doskonałe stosunki z przeciwnikami politycznemi.



Przywódca robotników angielskich, minister pracy Ernest Bewin wygłosił na obchodzie 3 maja w Londynie piękną mowę, solidaryzując się ze stanowiskiem Polski

"BUNT" KOBIET W KRAJU

Rola kobiet w życiu konspiracyjnem Polski jest niezwykle doniosła. Pracują one nietylko w tych dziedzinach, które zwykliśmy nazywać "typowo kobiecemi", ale także na najcięższych, najbardziej odpowiedzialnych posterunkach. Kobiety są redaktorami pism, kurjerkami; wchodzą w skład grup dywersyjnych i sabotażowych, biorą bezpośredni udział w takich nawet akcjach, jak wykolejanie pociągów, oraz wysadzanie mostów. Kobiety polskie zerwały z rolą biernego wyczekiwania, udzielania normalnego tylko poparcia i zachęty walczącym mężom, ojcom, braciom. Same stanęły w pierwszej linji podziemnego frontu.

W Armii Krajowej kobiety pełnią nietylko funkcje sanitarjuszek podziemnego Czerwonego Krzyża. Są również szeregowymi, podoficerami, oficerami, walczącymi z bronią w ręku.

Ta "emancypacja konspiracyjna" stała sę przedmiotem dyskusji na łamach tajnej prasy. Zastanawiano się nad celowością udziału kobiet w naj cięższych zadaniach bojowych. Wielu wybitnych działaczy konspiracyjnych wypowiedziało się przeciw tak znacznemu angażowaniu się kobiet polskich działalności, pociągającej za sobą niezliczone ofiary. Pragnęliby oni uchronić kobiety przed niezmiernymi trudami walki i przed represjami okupanta.

Ale kobiety są innego zdania. Oto co pisze na ten temat pismo kobiece "Żywia" w obszernym artykule pt. "Znów o żonie konspiratora".

"Złudzenie bezpieczeństwa, jakie daje mężowi przeświadczenie, że żona nie pracuje konspiracyjnie, jest niestety tylko złudzeniem. Dlatego stajemy w obronie tych kobiet, które pracować chcą i przeświadczone są, że pracować potrafią. Nikt nie ma prawa zabronić im pracy dla wolności — nawet rodzony mąż!"

NIEMCY W POLSCE PRZECZUWAJĄ KONIEC WOJNY

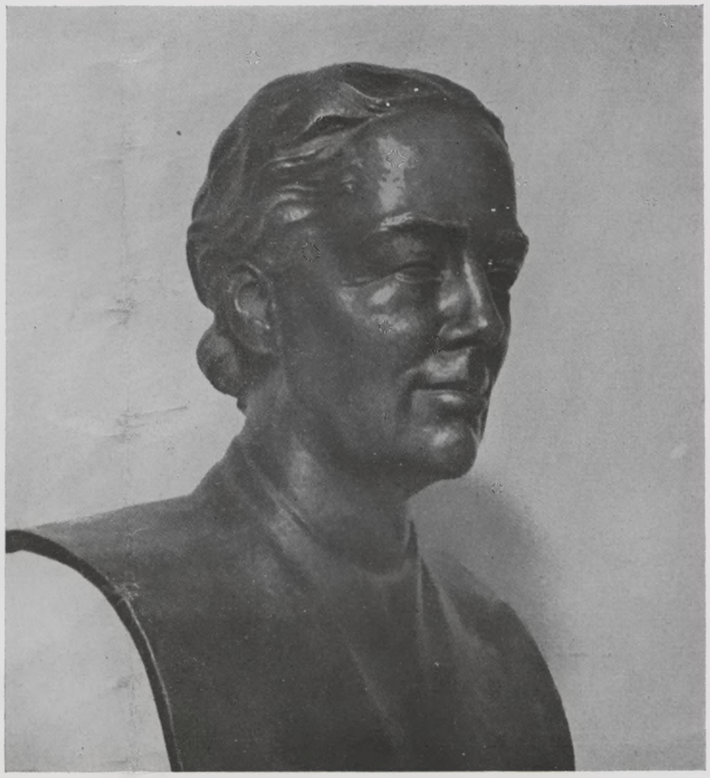
"Niemcy przestali wierzyć w zwycięstwo. Moment zakończenia wojny wyznaczają w przypuszczeniach naogół we wcześniejszym terminie, niż Polacy. Obserwuje się wśród nich często przygotowania do ucieczki. Niemiecki aparat administracyjny uległ całkowicie demoralizacji i korupcji. W urzędach kwitnie przekupstwo. W stosunkach z Polakam swem obecnym zachowaniem się Niemcy usiłują zatuszować przeszłość. Objawia się to między innemi w pragnieniu nawiązania z ludnością polską przyjaźniejszych stosunków, w używaniu języka polskiego i t.p. Polacy próby te ignorują."

Tak pisze w jednym z ostatnich numerów tajne pismo "Ziemie Za-

hodnie Rzeczypospolitej". Inne pisma również zwracają uwagę na zaznaczający się coraz wyraźniej rozkład moralny i psychiczny wśród urzędników niemieckich, wojska i policji. Niektóre organy prasy podziemnej zamieszczają bardzo wymowne obrazki z życia codziennego. A więc ciągłe prowadzenie ulicami Warszawy przez żandarmów licznych grup żołnierskich, spekulacje handlowe oficerów Wermachtu, ucieczki żołnierzy z pociągów i. t. p.

Pewne światło na nastroje Niemców w Polsce rzuca nawet takie niewinne ogłoszenie, zamieszczone w numerze z 22 grudnia 1943 gadzinowego "Nowego Kurjera Warszawskiego": ogłoszenie firmy krawieckiej szyjącej ubrania cywilne "szybko, solidnie, pod niemieckiem kierownictwem; w końcu ogłoszenia uwaga: "Ubrania cywilne dla PP. Oficerów Wehrmachtu SS. i policji szyte są po przedstawieniu pisemnego zezwolenia Komendanta Wojennego Miasta Warszawy". — Jeszcze rok temu nie trzeba było posiadać takiego zezwolenia. Ale rok temu w Polsce nie zdarzały się na porządku dziennym wypadki porzucania ubrań oficerskich i dezercji w ubraniach cywilnych...

Niemcy w Polsce czują nieuchronne zbliżanie się końca swego panowania. I mają wiadomość, że ten koniec oznacza równocześnie ich zgubę.



Zofja Kossak, autorka "Blessed are the Meek"
(rzeźba Zofji Trzcińskiej-Kamińskiej)

"CHOPIN" ZAMOYSKIEGO W RIO DE JANEIRO

Parę dni temu odbyła się w Rio de Janeiro uroczystość odsłonięcia biustu Chopina w Teatrze Municipal; biust jest dziełem znakomitego naszego rodaka Augusta Zamoyskiego i darem dla miasta Komitetu, złożonego z Polaków miejscowych, uchodźców i Brazylijczyków.

Na ceremonję bardzo licznie przybyli przedstawiciele rządu brazylijskiego z ministrem oświaty Gustavo Copanema na czele, korpus dyplomatyczny i świat artystyczny; przekazując dar miastu pięknie przemówił do zebranych — nasz minister Dr. Tadeusz Skowroński, jak wiadomo jeden z najbardziej aktywnych naszych dyplomatów i prawdziwy as propagandy. August Zamoyski mieszka od czterech lat w Rio gdzie ożenił się z piękną i pełną kultury Brazylijką, panną Izabellą Paes Laeme i gdzie stoi na czele państwowej szkoły rzeźby, opartej o zasady współdzielcze i mogącej się poszczycić licznemi już wykonanemi dla Rządu pracami. Kilka rzeźb samego Zamoyskiego zdobi już place publiczne w Brazylji. Do biustu Chopina pozował Zamoyskiemu doskonały artysta i reżyser Zbigniew Ziembiński, który rozwija w Rio żywą i bardzo pionierską działalność teatralną.

LOUIS MARIN

W ostatnich dniach dużo pisała prasa o przybyciu do Londynu z Francji jednego z najwybitniejszych i najstarszych parlamentarzystów francuskich Louis Marina, który prawdopodobnie uda się do Algieru i zasiądzie w Komitecie Wyzwolenia.

Louis Marin przewodniczył od lat najpoważniejszej grupie narodowo-prawicowej w Izbie Deputowanych, grupie zwanej popularnie grupą Marina i był niejednokrotnie ministrem. Jest to lotaryńczyk, wychowany w pięknych tradycjach patryotycznych; jak jednogłośna fama mówi od pierwszej chwili inwazji niemieckiej zachowanie się Marina było pełne odwagi i godności. Marin stał od początku jego istnienia na czele sławnego Towarzystwa "Les Amis de la Pologne" założonego przez "Różyczkę" Bailly, tylokrotnie opisywaną przez Boya. Jest on odznaczony wielką wstęgą "Polonia Restituta".

Z ŻYCIA POLONJI W BOSTONIE

W roku 1942 założone zostało w Bostonie, Tow. Przyjaciół Kultury Polskiej, które postawiło sobie za zadanie popieranie kultury polskiej przez urządzanie odczytów i stały kontakt z przedstawicielami polskiego świata literackiego i naukowego. Idąc po tej linji, Towarzystwo gościło u siebie w tym sezonie pp. Lechonia, Kondrackiego, Tuwima, Prof. Lednickiego i Prof. Nowaka.

Jan Lechoń zapoznał słuchaczy z ostatniemi swemi utworami poetyckiemi.

Michał Kondracki dał jasny przegląd dorobku muzycznego Polski Niepodległej ilustrując odczyt utworami muzycznymi.

Juljan Tuwim odczytał swe wiersze i wyjątki z utworu "Kwiaty Polskie".

Prof. Lednicki i Nowak omawiali sprawę stosunków polsko-rosyjskich.

W marcu Towarzystwo zaprosiło znaną i nieocenioną przyjaciółkę Polski Miss Grace Humphrey, autorkę niezliczonych dzieł o Polsce. Miss H. wygłosiła w języku angielskim odczyt na temat "Linja Curzona". Odczyt ten ściągnął sporą ilość Amerykanów, którzy mieli sposobność zapoznania się z tym tak ważnym dla Polski zagadnieniem w oświetleniu osoby objektywnej i ich rodaczki.

Na zamknięcie sezonu 1943-44 Towarzystwo zaprosiło Teatr Artystów z Nowego Jorku. O ile by ta impreza wzbudziła odpowiednie zainteresowanie, Towarzystwo nosi się z zamiarem zorganizowania pewnego rodzaju "Theatre Guild" celem częstszego urządzania takich przedstawień.

ZAMORDOWANIE GIOVANNI GENTILE

Nędznie skończył filozof i ideolog faszyzmu, ostatnio prezes Akademji Włoskiej Giovanni Gentile; patryjoci włoscy zastrzelili go, gdy szedł na posiedzenie Akademji we Florencji.

Giovanni Gentile był niegdyś wielką osobą w filozofji, był wraz z Benedetto Croce twórcą t. zw. "idealizmu absolutnego". Ambicje i oportunizm kazały mu szukać realizacji tego ideału w faszyzmie, Gentile był też jedynym intelektualistą włoskim pierwszej klasy, który czynnie pracował dla faszyzmu.

Mussolini wynagrodził mu to sowicie. Gentile został senatorem, był ministrem oświaty a wreszcie ostatnio w chwili okupacji niemieckiej — prezesem Akademji.

Obecność tłumna Niemców na jego pogrzebie w Bazylice Santa Croce zadokumentowała jego wierność tyranji aż do końca.

POLSKIE STRONNICTWO DEMOKRATYCZNE

Powstał w Nowym Jorku oddział Polskiego Stronnictwa Demokratycznego, które przed wojną działało w Polsce, grupując ludzi o poglądach liberalnych, przeciwstawiających się wszelkim formom zarówno prawicowej, jak lewicowej dyktatury. Jednym z najwybitniejszych działaczy tego stronnictwa w Polsce był prof. Michałowicz, jak wiadomo wielki entuzjasta i przyjaciel Piłsudskiego, zwalczający przecież t. zw. "Sanację".

Na emigracji powrześniowej — grupa tego stronnictwa powstała w Paryżu pod przewodnictwem b. ambasadora Tytusa Flipowicza, obecnie oddziały stronnictwa zawiązały się w Londynie i w Palestynie.

Oddział nowojorski skupia się koło prof. Manfreda Kridla, Józefa Wittenberga, Józefa Wittlina i Bolesława Zubrzyckiego, których nazwiska same już są gwarancją poziomu i klasy intelektualnej prac, mających być przez stronnictwo przedsiębranemi. Odezwa nowej grupy mówi głównie o zadaniach powojennych Stronnictwa i wysuwa zasady, których realizacja zależeć będzie od przebiegu wojny.

Szer. Gałuc Józef — C. M. F. Polish Forces 207 — poszukuje brata Stefana Gałuca urodzonego we wsi Derewna, pow. kobryński, woj. Poleskie, który wyjechał do Kanady w r. 1929 i o którym od wybuchu wojny nie ma żadnych wadomości.



„Pestka" — rys. Marjan Walentynowicz

LISTY DO REDAKCJI

Jeden z naszych czytelników i przyjaciół p. J. W. Bronowicz, Toledo, Ohio, dzieli się z nami następującemi uwagami:

...Dorothy Thompson żalła się, że w jednym obozie jeńców w dniu imienin Hitlera, Niemcy zastrajkowali, wystawili swastykę, wogóle zachowywali się bardzo obrażająco wobec U .S. A. W innych obozach Naziści objęli czołowe stanowiska i teroryzują przeciwników politycznych. W kilku obozach znaleziono zwłoki zamordowanych jeńców (szczególnie Austryjaków)...

...Ja się dostałem do niewoli włoskiej, będąc w 1918 r. w wojsku austrjackiem i przez pierwsze 4 dni pędzono nas jak bydło do głębi Włoch **bez jedzenia,** zaś po czwartym dniu dawano nam posiłek: 1 małą konserwę mięsną, włoską — **na 3 jeńców** i 1 mały, okrągły bochenek białego chleba — **na 3 jeńców** —raz na dzień tylko — bez zupy, bez kawy, bez niczego. Niewola tak dała się we znaki jeńcom, że gen. Haller po przybyciu do Włoch dla rekrutacji do Armji Polskiej tylu jeńców zebrał, że nie mógł sobie rady dać. Nas 4ch uciekło z obozu dnia 22 grudnia 1918 (dwóch nas było Polaków) i nie czekaliśmy na Hallera, bo bylibyśmy do tego czasu pozdychali albo z głodu albo z szerzącego się tyfusu plamistego. Tymczasem w obozach amerykańskich Naziści jadają ten sam wikt, jaki dają żołnierzom amerykańskim — a jakże t. zn. dają im kury, indyki, ciasta i paje — no i piwo. To jest wprost nie do uwierzenia — rzeczy, jakie nam cywilom, wiernym obywatelom Ameryki, dostać trudno. Możeby Kongres Polaków w tej sprawie coś zdziałał. Zdałoby się zmienić wartę w naszych obozach jeńców — a mianowicie obstawić je Polakami — a jakże tutejszymi Polakami — dlaczego nie?

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Stefanji Bar... Jamaica Plain, Mass. Dziękujemy najserdeczniej za cenną pomoc i za miłe słowa. Będziemy posyłali według Pani życzenia.

Ks. G. S. Ros... Providence, R. I. Dziękujemy Księdzu Proboszczowi za miłą zapowiedź i życzliwość.

Panu Tadeuszowi Poz... Quebec.— Tekst francuski wysyłamy.

Panu Waleremu Fron... Chicago, Ill.—Bardzo nas ucieszyła wiadomość o pana interwencji w klubie. Informacje o "Faraonie" przedłożyliśmy wydawcy. Prosimy o nas nie zapominać.

Panu W. A. Mil... Erie, Pa. — Z największą wdzięcznością przyjęliśmy tak wzruszający dar Pana, świadczący o Jego przywiązaniu do polskiej kultury. Liczymy na częstszą z Panem korespondencję.

Min. M. Chałupczyńskiemu, Bogota, Columbia. — Prosimy o przyjęcie naszych serdecznych podziękowań.